

130 instytutów a efekty?

Nowoczesność to także lepsze warunki pracy

„BARBAROSSA” WCHODZI DO AKCJI

Dokończenie na str. 2

Tyle w skrócie, o instytucjach. Jeśli chodzi o ich koordynatora — CIOPI — to również nie spełnił on dotychczas pokładanych w nim nadziei. Wniosek taki wynika z faktu, że CIOPI nie ma pełnego rozeznanie w problematyce prac bhp-owskich, podjętych lub podejmowanych, przez instytucje branżowe.

CO MA WÓZEK DO SAMOCHODU

Jedni powiadają, że rodzina powinna mieć troje dzieci. Inni upatrują przyczyn zmniejszenia się przychówku nie tam, gdzie trzeba, bo w świadomym rodzicielstwie, jak gdyby komuś mogło zależeć na bezmyślnej „produkcji” potomstwa i powierzenia całego dalszego ciągu azylom dzieci niekochanych. Niektórzy wysuwają na czoło hamletowski dylemat: wózek dziecięcy czy samochód, jakby od ludzi upośledzonych przez naturę brakiem instynktu rodzicielskiego tak wiele w statystyce zależało.

Po to jest zresztą dyskusja, by się każdy wygadał.

Szkoda tylko, że nikt na razie, oprócz stwierdzenia szkodliwości huśtawki demograficznej, nie próbował zastanowić się nad ewentualną optymalną górną granicą przyrostu, wobec perspektyw automatyzacji produkcji oraz coraz dłuższej użyteczności ludzkiej jednostki. Zostawmy to jednak specjalistom.

Ponure sugestie

Model rodziny to nie tylko liczba dzieci. Wypłynęła więc, choć nie powinna chyba w takim ujęciu wypłynąć „sprawa kobieca”. I w głowie się nie mieści, żeby po 25 latach kształtowania socjalistycznych stosunków międzyludzkich pojawiały się jakże ponure dla kobiet sugestie w rodzaju: należałoby się zastanowić nad celowością dalszej aktywizacji kobiet.

A więc kawę na ławę: większość kobiet, z którymi się stykam, o różnym poziomie wykształcenia i różnych zarobkach, twierdzi, że podjęła pracę nie po to, by dorabiać na kosmetyki i nie tylko, by dopełnić budżet. Mówiły wręcz, że gdyby im mąż przyniósł dwukrotnie więcej niż zarabiają, pod warunkiem siedzenia w domu, nie zgodziłyby się nigdy. Powrót w pielesze akceptowały nie-liczne kobiety, ze środowisk kulturowych tradycyjny sposób bycia, bądź kobiety bez kwalifikacji. Czy stąd wniosek, że najprościej wrócić w czasy Dulskiej, która mawiała: dla kobiety nie ma jak dom, czy w czasy „Marty”, kiedy kobieta bez kwalifikacji w nim siedzieć musiała? Chyba nie tędy droga.

Kobiety (może niestety) stanowią ponad połowę obywateli, warto więc nawet w dyskusji liczyć się nieco z ich odczuciami. Zwłaszcza bowiem wychowanki PRL przyjęły za absolutnie dobrą monetę to, że w hierarchii wartości praca zajmuje lokatę najwyższą i nie kójarzą jej tylko z gotowaniem i z froterowaniem podłóg. Płacą za tę wiarę, usankcjonowaną zresztą literą prawa, wysoką cenę, łącząc podwójne obowiązki, mi mo drwinek: „chciałyście emancypa-

cji, to ją macie”. Jednak wyniki ich wysiłku coraz mniej dają do drwinek okazji.

Skąd się to bierze?

Przykro kobietom, jeśli nazbyt często słyszą: ten zawód jest sfeminizowany, ten kierunek studiów, czy szkoły zawodowej — sfeminizowany... A już przykro podwójnie, kiedy przy przyjmowaniu do odpowiedniej niejszej pracy decydują nie tylko kwalifikacje, lecz płeć. Bo szefowie z góry boją się macierzyństwa: urlopu, zwolnień na chore dziecko, pospiesznych powrotów do domu itp. Nie byłoby takich sytuacji, gdyby zaczęły wreszcie mówić — poza trzy-

Wokół dyskusji nad polską rodziną

miesięcznym urlopem macierzyńskim o obowiązkach rodzicielskich dzielonych pół na pół. Bo kobiety poza tym „defektem” są pracownikami solidnymi i nieolajalnie jest im ów „defekt” wytkać.

Wcale zresztą nie pomawiam o antyfeminizm tych, co dziwią się, że żeńska połowa narodu przytłacza pewne zawody, skoro ta męska dominuje w kopalniach, na budowach czy w hutach. Zapewne ci, co sugerują „odaktywienie produkcyjne” kobiet (jakby to miało automatycznie je uaktywnić reprodukcyjnie), albo podnoszą słuszną feminizację niektórych dziedzin, są przemysłami partnerami w towarzystwie pań, dobrymi mężami, zwłaszcza, jeśli żonka oczekuje z obiadem i współczująco patrzy w oczy, kiedy PAN DOMU opowiada, jaki to ciężki dzień ma za sobą...

Można ich zrozumieć. Faktycznie zabrakło mężowi pracującej żony klimatu domowego uwielbienia, wyłączności autorytetu, a co gorsze w miejscu pracy spotyka dziś koleżanki-partnerki, a nie tylko pomocnicze, jak ongiś bywało. Kłaniają się nam w sferze obyczajowości wielowiekowe tradycje, pielęgnowane od czasów miecza i kadzieli, potem przez burżuazję, a wspierane biblijnym zapisem o Ewie, co „pod mocą mężową” być powinna i o Adamie, co ziemię miał uprawiać w pocie czoła. Cwierz wieku to w przebudowie obyczajowości zbyt mało czasu, by zrobić wszystko. Choć nasze społeczeństwo traktuje dziś opowieść o chytym wężu i jabłku raczej anegdotycznie, to odnosi się jednak wrażliwie, że niektórzy współcześni Adamowie radzi by, może podświadomie, nie przyspieszać chwili pełnego zrównania praw płci obojga.

Czas pomyśleć o modelu

Wyzwolenie kobiety spod „mężowej mocy”, jej wyjścia z kuchni i dziecinnego pokoju, jej ucłowieczenie, o co tak konsekwentnie walczyła lewica społeczna, a co urealniali socjalizm, musiał spowodować rozliczne, ale na pewno przejściowe komplikacje. Jednak do ery niewolnictwa, czy poddaństwa chłopów też nie było powrotu choć ich zniesienie musiało przyspieszać ludzkością.



JAK UCZYĆ DZIS I W PRZYSZŁOŚCI

O tym, jak uczyć dzieci dzisiaj i za dziesięć lat, pisze Stefan Bratkowski w „Życiu Gospodarczym”. Jest to druga część sygnalizowanego na tym miejscu przed tygodniem „Krótkiego raportu w sprawie oświaty podstawowej”.

Autor zastanawia się nad tym, dlaczego bywało że podreżnik; jak rozwiązać problem taniej książki dla uczniów i nauczycieli; jak zapewnić wszystkim szkołom pomoce naukowe; jak w innych krajach zamierza się uczyć młodzież w najbliższej przyszłości.

Bratkowski występuje m. in. z tezą, że planowanie oświaty prowadzone do liczby miejsc potrzebnych w szkole jest planowaniem archaicznym, nie na miarę naszych czasów. A, niestety, do takiego właśnie planowania ludzie nawykli, wprost nie zauważają, że jakaś nowa technika nauczania rozwiązuje ich własne problemy — problemy braku miejsc i braku kadr. Idzie zwłaszcza o postępowe techniczne w nauczaniu, wyposażanie szkół w maszyny uczące. Jeśli nauczyciel podczas zajęć z maszyną nie będzie musiał wyklądać i odpływać jego praca stanie się nieopracowana i lejsza. Jeśli zaś lekcja — po wprowadzeniu szeroko pojętego postępu technicznego — będzie mogła trwać nie

Trzeba więc model rodziny budować na nowym fundamencie, uwzględniając fakty zasze. Nie zabieram głosu w sprawie optymalnej ilości dzieci, bo o tym można mówić po rzeczowej przemyśle do indywidualnych warunków lokalowo-materiałnych, socjalnych, co nie jest przedmiotem tych rozważań, a także do skali instynktu rodzicielskiego każdej pary. Bo choć człowiek należy do gromady ssaków, zawsze to niemile brzmi, jeśli w dobrej nawet intencji formuluje się coś w rodzaju „kobieta powinna urodzić tyle a tyle...” Rodzi na ludzka czymś się jednak różni od stajni zarodowej.

A co zrobić, żeby była liczniejsza? (znów pomijam realia materialne). Sądzę, że należy co szybciej pomyśleć o bezbolesnych porodach, o stworzeniu takich warunków w miejscu pracy, by szefowie nie byli przerażeni ewentualnym odejściem na urlop potencjalnej matki (powinni raczej wyrażać radość, że ta ważna czynność biologiczna ich omija).

Ponadto musi też nastąpić generalna rewizja tradycyjnych pojęć macierzyństwa i ojcostwa. Gdy będzie uczciwy partnerski podział obowiązków opiekuńczo-domowych, kiedy ojciec nabierze faktycznie równych praw do wychowania własnego dziecka, a nie będzie tego traktował jak skazanie, uniknie się rozlicznych komplikacji w domowym zaciszu, zyciu towarzyskim, jakie — przy nadmiernym obciążeniu tylko jednej strony — po przyjściu na świat dziecka muszą zaistnieć.

Czy to wszystko razem zwiększy pokójne rodziny? Nie przesadzajmy sprawy. W każdym razie rysujący się już w konturach nowy model rodziny, ten partnerski u młodych małżeństw, na pewno uczyni ją szczęśliwą.

Jak usprawnimy tak pojedziemy

Dokończenie ze str. 1

częstotliwości kursów i poprawy ich precyzji — nie ma. Perspektywy na najbliższe lata — dla Poznania konkretnie — też nie są różowe. Nie otrzymaliśmy w minionym roku (i wiele wskazuje, że i w bieżącym nie otrzymamy) tyle taboru, ile zaplanowano. Główne trasy przebiegowe będą gotowe dopiero za kilka lat. Warunki pracy dla kierowców — choć nieźle — nie przyciągają jakoś dostatecznej liczby chętnych. A Poznań się rozrasta, zadania dla transportu miejskiego są coraz trudniejsze.

Poznań mógłby dać przykład

Oczywiście, proponować ogólnikowo usprawnienia łatwo. Trudniej nakreślić sprecyzowane zarysy działania. Ale przecież sedno w tym, iż część środków mamy. Na przykład — MPK ma sporo taboru, cierpi tylko na braki personelu; liczne zakłady pracy mają autobusy (z kierow-

„Wielkopolska” po 10 latach

Jubileusz sukcesów

Kiedy przed dziesięć laty w dniu majowego święta wystąpił, świeżo utworzony przy ówczesnym Komitecie Miejskim ZMS, zespół pieśni i tańca — przyjęto go serdecznie, ale niewielu rokowało mu międzynarodową karierę. Zespoły roziły się i umierały między jednym a drugim świętem. Poznański zespół miał też trudne chwile, ale na szczęście przetrwał.

Jako główną linię repertuarową przyjęto propagowanie folkloru Ziemi Wielkopolskiej. Był to bardzo szczęśliwy pomysł. Autentyczne i stylizowane pieśni oraz tańce ludowe korzystnie wyróżniały się świeżością i prostotą wśród nie najlepszych programów rozrywkowo-kabaretowych.

Wkrótce posypały się zaproszenia. Zespół występował w Sali Kongresowej w Warszawie, na centralnych dożynkach, na polach Grunwaldu i na małych estradach w Wielkopolsce. Potem rozpoczął występy zagraniczne.

Zapominali wtedy o wysiłku, którego wymagało przygotowanie każdego występu. Zespół jest amatorski. Należą do niego ludzie różnych zawodów: robotnicy, urzędnicy, studenci, asystenci wyższych uczelni. Łączy ich umiłowanie tańca i śpiewu. Dlatego, chociaż nieraz trudno wygospodarować czas na próby, rzadko się zdarza, aby ktoś nie przyszedł.

„Wielkopolska” stanowi zwarty kolektyw. Zdzisława Witkowska, Mirosława Blamka, Jan Pietrucha, Kazimierz Brdek, Andrzej Jarzina, Karol Olejniczak, Józef Stasik, Teofil Kamiński pamiętają początki organizowania zespołu.

Od 9 lat funkcję choreografa pełni Roman Matysiak. Pierwszym dyrygentem był Franciszek Banasiewicz, po nim pracował Mieczysław Donajewski, a od 6 lat pełni tę funkcję Ludwik Rok. W miarę upływu czasu zespół, wierny folklorowi wielkopolskiemu, rozszerzył reper-

tuar o pieśni i tańce innych regionów kraju. Oprócz muzyki ludowej śpiewają pieśni robotnicze, partyzanckie, tańczą poloneza i mazura. Obecnie przygotowują widowisko „Jarmark Świętojański” do muzyki W. Krzemińskiego. Będzie to ósmy program „Wielkopolski”.

Od 3 lat zadomowiła się „Wielkopolska” w Pałacu Kultury. Można protektor stworzył zespołowi warunki w pełni umożliwiające rozwój. Rozszerzyła się praca samorządu. Dziewczęta i chłopcy lubią razem tańczyć i odpoczywać. Tradycyjnie raz w roku urządzają otryśiny dla najmłodszych. „Nowych” otacza się w zespole szczególną opieką.

Wiadomo, wysoka lokata zespołu zobowiązuje, trzeba więc wdrożyć nowicjuszy do pracy w zespole. K. Brdek, J. Marek, E. Nosek, J. Lisiewicz i wielu innych podjęli się prowadzenia zajęć z nowo przyjętymi.

W ciągu dziesięciolecia „Wielkopolska” dała prawie 230 koncertów w kraju i 60 za granicą. Oklaskiwano ją, jak obliczają w zespole, ponad 800 tys. widzów — Polscy, Jugosłowianie, Szwedzi, Dania, NRD, Czechosłowacy, Bułgarii, Francji, Węgier i Włoch. Wyróżnieniem był występ w „Festiwalu Solidarności” w Skopje, impreza „Pro Musica” w Szwecji i na „Festiwalu Folklorystycznym” w Breście. W bieżącym roku z „Międzynarodowego Festiwalu” w Agrigento „Wielkopolska” przywiozła II nagrodę.

W uznaniu zasług w propagowaniu polskiego folkloru w kraju i poza jego granicami „Wielkopolska” otrzymała Złote Oznaczenie Janka Kraskiego, nagrodę Komisji Koordynacyjnej Ministerstwa Kultury i Sztuki, Nagrodę Poznania i województwa poznańskiego.

Z okazji 10-lecia kierownictwo zespołu zostało przyjęte przez Prezydium Rady Narodowej Poznania. Honorowe odznaki Poznania wręczyli Felicy Przedwojskiej, Romanowi Matysiakowi, Ludwikowi Rokowi i Kazimierzowi Brdekowi. (g)

Może w stolicy Wielkopolski zrodzi się propozycja, jakie warunki są niezbędne po temu, by transport miejski dysponował — na zasadzie pierwszeństwa — pełną obsługą personelu. Może jeszcze raz należałoby rozważyć komasację rozproszonych zakładowych autobusów — w scentralizowanych bazach, jak to z powodzeniem uczyniono z ciężarówkami.

Problem jest naturalnie nietrywny, złożony, skomplikowany, uwarunkowany, szeroki, poważny. Ale — czy nie na miarę naszych sił? Nie z kategorii tych, z którymi właśnie Poznań mógłby poprobować się wzięć za bary, z korzyścią — być może — dla całego kraju?

W czasie niedawnego Plenum KW na temat transportu zarysowała się dobra perspektywa rozwiązania wielu trudności przy pomocy nakładów inwestycyjnych. Ale to wymaga czasu. Na razie musimy wprowadzić usługi przewozowe tymi środkami, jakie posiadamy.

A zatem? Może jednak przysłowiowa poznańska gospodarność i rzetelny pomysłunek pomogą szybko, u nas niż gdzie indziej, rozwiązać gordyjski węzeł komunikacyjnego łoku.

PIOTR ŻYCKI

„BARBAROSSA” WCHODZI DO AKCJI

Dokończenie ze str. 1

bytych sukcesów. Mitem okazały się hitlerowskie rachuby na rezygnację z obrony po kilku ciosach, zawiodły oceny zdolności dowódczych Stalina i młodych oficerów, źle obliczono moce produkcyjne radzieckiego zaplecza, mitem okazały się raporty o słabym przygotowaniu technicznym radzieckiej kadry inżynierskiej.

Plan „Barbarossa” sporządzony w cieniu megalomańskiego fuhrera nie przewidywał tych rezerw siły, które tkwiły w komunistycznym społeczeństwie. Nie zima była największym wrogiem wojsk Hitlera, ale właśnie to wszystko, co „teoretycy” od spraw sowieckich, hitlerowscy sowietolodzy określili mianem kolosa na glinianych nogach — cały naród.

Są to sprawy, które do dzisiaj jeszcze kładą zaćmę na oczy niektórych strategów i polityków zachodniomienieckich, twórców teorii odwetu i zaczynania wszystkiego od początku. Nie zdają sobie sprawy z tego, że żaden plan, żadna korekta nowego „Barbarossy” nie wprowadzi recept prowadzących do obalenia ustroju, który stał się najsukcesowniejszą bronią zwalającą z nóg każdego śmiałka.

REMIGIUSZ SZCZESNOWICZ

uniwersytetu istnieje potrzeba większej demokratyzacji życia. Moim zdaniem młodzież akademicka powinna być nie tylko w Senacie, ale i w Kolegium Rektorskim. Zachodzi pytanie czy te nowości sprawdzą się w życiu. Ale jestem optymistą”.

LEKARZE SAMI O SOBIE

Często spotyka się publikacje o służbie zdrowia, o lekarzach. Pisze się o ich sprawach dużo, bo nikomu nie jest obojętne, jak i kto będzie go leczył. Ale mimo wielu także krytycznych uwag pod adresem środowiska lekarskiego, zawód lekarza — jak wykazały sondaże socjologiczne — obok zawodu górnik, profesora uniwersytetu, dziennikarza i rolnika poszedł w górę w ocenie opinii społecznej. W ocenach ludności wiejskiej — według kryterium poważania społecznego — zawód lekarza znalazł się na pierwszym miejscu, a według kryterium dochodów — na drugim. Podobne opinie wygłaszają także mieszkańcy miast. W ocenie zawodów według gwarancji stałej pracy i według satysfakcji, jaką praca daje — uplasował się na pierwszą pozycję, według kryterium poważania społecznego — na drugiej. Natomiast w ocenie korzyści materialnych, jakie przynoszą różne zawody — spadł na piątą.

Tak widzi lekarzy społeczeństwo. Ale Danuta Frey-Majewska i Anna Web, z których artykułu (wydrukowanego w „Tygodniku Demokratycznym”) zaczerpnęliśmy powyższe dane, piszą jednocześnie o tym, jak siebie widzą sami lekarze. Materiał, z którego korzystały autorki (około 50 wypowiedzi) nie daje

wprawdzie podstaw do uogólnień, ale wobec zgodności bardzo wielu tych wypowiedzi warto je jednak spopularyzować.

Otóż lekarze sądzą, że prestiż ich zawodu spada. Podają przy tym takie m.in. przyczyny, jak: powszechność tego zawodu, zaliczenie go do działu usług, a więc działu stojącego w odczuciu społeczeństwa niżej od zawodów produkcyjnych, warunki materialne powodujące konieczność dorabiania, przeciążenie lekarzy sprawami urzędniczymi, niedomaganie organizacyjno społecznej służby zdrowia. Charakterystyczne jest przy tym to, że socjologiczne sondaże stwierdziły, iż atrakcyjność zawodu lekarskiego dla młodzieży — i jej rodziców — ulega spadkowi. Zaden z ankietowanych przez autorki lekarzy nie chce, aby jego dzieci wybrały właśnie ten zawód, choć oni sami na pewno wybraliby go po raz drugi.

Trudno mówić o tym — czy są to odczucia powszechne, bo — jak stwierdziliśmy — ankietę nie jest wystarczającą reprezentatywną. Toteż dane te mogą tylko stanowić zaledwie zaczątek do jakiegś szerszego dyskusji na ten temat, do czego redakcja „Tygodnika Demokratycznego” zresztą zaprasza.

FOLKLOR CZY FOLKLORYZM

Pod tym tytułem Józef Burszta publikuje w „Tygodniku Kulturalnym” pierwszą część szkicu, w którym wyjaśnia istotę i genezę tak modnego dzisiaj folklorizmu czyli — jak to określa — społeczno-kulturalnego ruchu polegającego na stosowaniu w szczególnych sytuacjach bieżącego życia poszczególnych gatunków folkloru pojętego najszerzej.

LEKTOR